

WSPOMNIENIA NARCIARZA

Biblioteka Gł AWF w Krakowie

1800070491

w Krakowie



NA PRZEŁĘCZY GORYCZKOWEJ. 10.

STANISŁAW BARABASZ

WSPOMNIENIA NARCIARZA

ZAKOPANE 1914.
NAKŁADEM SEKCYI NARCIARSKIEJ TOW. TATRZAŃSKIEGO.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI PODHALAŃSKIEJ.

BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY WYCHOWANIA FIZYCZNEGO w Krakowie
4562

Odbitka z czasopisma „Zakopane".

Czcionkami drukarni „Polonia" Jana Trybuły w Zakopanem.

196. 92. (430)(091): 929-061 A/Z

„Wspomnienia narciarza“ stanowią ciekawy i cenny przyczynek do dziejów naszego narciarstwa. Sięgają one wstecz do czasu, gdy umiejętność ta w Polsce zupełnie była nieznana, lub ściślej — zapomniana, a widok nart dawał szerokie pole do domysłów na temat ich przeznaczenia i użyteczności. Autor, zajmujący stanowisko dyrektora Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, namiętny myśliwy i miłośnik przyrody, rozumiejący jej mowę, jest u nas pierwszym pionierem narciarstwa. We „Wspomnieniach“ kreśli on koleje pierwszych swych prób i usiłowań na śnieżnych terenach, usiłowań, które stały się podwaliną umiejętności tej na zachodzie kraju a dzięki sprzyjającemu zbiegowi wypadków doprowadziły do obecnego rozkwitu narciarstwa. Wdzięczność należy się Szanownemu Autorowi, iż uległ zachęcie życzliwych i wspomnienia swe zapomocą druku oddał szerokim kołom narciarzy.

Jako Zarząd Towarzystwa, którego autor był pierwszym prezesem i jednym z założycieli, spełniamy miły obowiązek zajęcia się wydaniem „Wspomnień“, tusząc, iż w ten sposób przyczyniamy się pośrednio do utrwalenia i rozwoju narciarstwa w kraju.

Zarząd Sekcyi Narciarskiej Tow. Tatrzańskiego.

Zakopane, w kwietniu r. 1914.

Sekcyi Narciarskiej Tow. Tatrzańskiego niniejsze notatki ofiaruję.

Biblioteka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie



PIERWSI NARCIARZE ZAKOPIAŃSCY.

Od dzieciństwa miałem pociąg do różnych zakazanych wówczas zabaw, zwanych dzisiaj sportem, a za które trzepano wtedy część ubrania, podobną brzmieniem do tego modnego dzisiaj wyrazu, naturalnie na osobie przestępcy.

Sport ślizgawkowy rozpocząłem, jak to zwykle bywało, na ulicy w rynsztoku, bez przyrządów. Później skonstruowałem sobie jedną łyżwę z kawałka polana i grubego drutu, zwaną drucianką, przymocowaną sznurkiem do nogi. Wtedy już ślizgało się na stawie. Po takiej zabawie szło się z obawą do domu, jakie to będzie przyjęcie.

„Pewnie znowu byłeś na ślizgawce, pokaż buty".

A trzeba wiedzieć, że noga nie zaopatrzona łyżwą miała podeszwę od popychania po lodzie wytartą na czerwono — o tem trzeba było pamiętać i pokazać tę drugą, aby uniknąć katastrofy. Gdy się jeździło później na dwóch takich druciankach, było się już panem sytuacyi. Później sprawiłem sobie porządne łyżwy o drewnianych napiętkach, wśrubowane do obcasa i przymocowane rzemieniami; dopiero o wiele lat później nastały Halifaksy, które były dla nas niedostępne z powodu wysokiej ceny (kosztowały wtedy 10 guldenów) i dlatego zapewne były przez nas lekceważone, jak kwaśne winogrona.

Z naszej rodziny nikt nie polował i w domu żadnej broni palnej nie było, miałem jednak do tego ogromną ciekawość; wymyślić sobie jaką pukawkę i dostać garstkę prochu było mojem marzeniem. Konstruowało się więc pistolety z kluczów, ba, nawet i pojedynkę z lontem z rurki starej parasolki i dziurawiło się parkany i szopy sąsiadów, przyczem nie obeszło się bez wypadków, albowiem dwa takie samopały rozerwało mi w rękach, jednak bez poważniejszego zranienia.

Gdy później za dobre świadectwo kupił mi ojciec „prawdziwy" pistolet kapslowy i wreszcie pojedynkę, radość i duma z posiadania tej broni nie miały granic, — czułem się wtedy prawdziwym myśliwym. Goniłem po całych dniach podczas wakacyi po polach i lasach, gromiąc sternale, pośmieciuchy, wrony i sroki. Równocześnie uprawiałem rybołówstwo na wędkę i sak, w połączeniu z wiosłowaniem. Później przyszła kolej na szermierkę, przy której niemało sińców zyskałem i pozwoliłem sobie rozłupać matki mej pamiątkowy emaliowany złoty zegarek. Potem zajął mnie rower, trochę tennis, a przedewszystkiem gimnastyka.

Było to w latach ośmdziesiątych. O nartach w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu u nas nikt nie słyszał. Znało się z opowiadań Sybiraków narty, jako sanki ciągnione przez reny, łyże, na których chodzono tam na polowanie po śniegu, czytał ktoś o „ski", zapomocą których Norwegowie mieli cudów dokazywać, tak, że bieg ich był porównywany z lotem ptaka.

Interesowałem się niezmiernie owymi przyrządami: jak one wyglądają? Chciałem bodaj rysunek jaki zobaczyć, aby według niego zrobić je było można. Pytałem się o nie znajomych, aż nareszcie znalazłem jed-

nego, który czytał gdzieś o tem, ale szczegółów nie pamiętał; to tylko utkwiło mu w pamięci, że zapomocą „ski" można z ptakiem iść w zawody.

Nie chciało mi się to w głowie pomieścić, ale tem bardziej zapragnąłem posiąść owe tajemnicze przyrządy. Trwało to kilka lat. Poznałem się tymczasem z dr. J., Sybirakiem, który mi opisał łyże, używane przez Jakutów, o owej zaś nadzwyczaj szybkiej jeździe nie mogłem się niczego od niego dowiedzieć.

W grudniu r. 1888 byłem u kolegi szkolnego D. w Jasielskiem na polowaniu. Spadły wtedy ogromne śniegi, tak, że chodzenie po polach było prawie niemożliwe. Wtedy przypomniałem sobie, że dobrzeby było zrobić parę takich drewnianych łyżew, celem ułatwienia chodzenia po śniegu ku zagładzie rodu zajęczego.

Z pomocą tedy stelmacha dworskiego wykonane zostały pierwsze moje „ski" i to jedna łyżwa jesionowa, a druga bukowa, gdyż materyału jednolitego nie starczyło.

Dotąd wszystko dobrze, ale jak je do nogi przyczepić, aby się ruszać można było? Próbowało się sznurkiem, z początku szło źle, potem coraz lepiej, a więc jazda na dwór naokoło domu!

Naturalnie chcieliśmy zaraz latać — skutek zaś tego był taki, że po kilkakrotnym upadku i wstawaniu przy pomocy wszystkich bez wyjątku mięśni, a przedewszystkiem języka i gardła, po jednej turze wokoło domu, wracało się zziajanym i spoconym ku wielkiej uciesze kobiet, zwłaszcza służebnych.

„Panowie to przecie inaksi są, jak nasze chłopy: bo nasz, jak sie ożeni, toby ino na przypiecku do góry

brzuchem leżał i fajkę palił, a panom to jeszcze figle w głowie". Trzeba dodać, że wtedy byliśmy obydwaj żonaci.

Polowanie na nartach wtedy się nie udało, bo śnieg już był zleżały i narty świszczały po nim tak, że zwierzyna, nienawykła do tego obcego jej głosu, wymykała na ogromne odległości; kuropatwy uciekały na setki kroków, a zając, wyjechawszy z kotliny, stawał słupka, nasłuchiwał, a potem w panicznym strachu umykał i nie oparł się, aż w lesie, bo w polu straszyło.

Lepiej mi się udało polowanie w kilka lat później, w roku 1896, 19-go grudnia, w Rącznej koło Krakowa. Na głęboki stary śnieg spadła ponowa, można było cicho na nartach iść. Mój towarzysz p. Z. był bez nart, to też zapadał głęboko i strasznie się całodziennem chodzeniem umęczył. Mnie zaś było łatwo po powierzchni śniegu się posuwać, a nawet raz udało mi się z pagórka zabiegnąć drogę zającowi. Rezultatem tego polowania były zabite przezemnie cztery zające, podczas gdy mój towarzysz żadnego nie zabił.

Przywiózłszy te pierwsze łyżwy do Krakowa, ćwiczyłem się w jeździe na błoniach, ale w nocy, aby się ze mnie nie śmiano. Chciałem koniecznie uzyskać tę szybkość „lotu ptaka", lecz jakoś daleko było do tego. Dopiero przeniósłszy moje boisko na wzgórza pod kopiec Kościuszki, zrozumiałem odrazu, do czego narty służyć mogą.

Na błoniach wyćwiczyłem się dobrze w jeździe po równinie, tutaj zaś na stokach góry św. Bronisławy miałem teren idealny do nauki, pagórkowaty o najróżniejszych spadkach, używałem więc na wychodzeniu w górę i zjeżdżaniu do syta.





W DRODZE DO CZARNEGO STAWU.



NA HALI GĄSIENICOWEJ POD KOŚCIELCEM.



W tym czasie zobaczyłem w sklepie pierwsze „prawdziwe“ ski z uprzężą norweską, z obłąkami z fiszbinu. Naturalnie, że zaraz przerobiłem moją uprząż już wtedy rzemienną, podobną do dzisiejszej Huitfelda, lecz bez łap metalowych; pod podeszwy stóp podłożyłem sukno góralskie, aby się stopy nie ślizgały.

Narty moje były bardzo cienkie, w środku zaledwo grubości ołówka, nadzwyczaj elastyczne, przypasowywały się więc łatwo do nierówności terenu, przez co jazda była dosyć trudna, wymagała bowiem ciągłego balansowania naprzód i wtył, co jednak było dobrą szkołą. Stopy trzymałem razem, pięta przy pięcie, ślad był więc wązki; skręcać naturalnie wtedy nie umiałem, później nauczyłem się hamować zapomocą kija i zataczać wielkie łuki, ale to już w Zakopanem, gdzie spędziłem kilka tygodni w zimie r. 1894.

Będąc zapalonym gimnastykiem uczęszczałem pilnie do Sokoła krakowskiego, w lecie zaś jeździłem na rowerze; sporty te jednak niczem były dla mnie wobec jazdy na nartach. Nawet ślizgawkę zaniedbałem prawie zupełnie, pomimo że należałem wówczas do najlepszych łyżwiarzy. Nic dziwnego zatem, że chciałem zjednać zwolenników do tego nowego i miłego sportu pomiędzy znajomymi, aby mieć towarzyszów wycieczek. W tym celu zrobiłem sobie drugą parę nart już zupełnie poprawnych, według widzianego wzoru norweskiego.

Starania moje nie zostały jednak uwieńczone pomyślnym skutkiem—natrafiałem u sportowców na dziwny upór, lub zupełną obojętność.

„U nas to się nie przyjmie, nie ma zupełnie zastosowania, brak odpowiedniego śniegu; rower to

zupełnie co innego, na nim można jeździć tak szybko, jak koleją".

Tak, ale rowerem nie wszędzie, a w zimie nie zawsze można jeździć! Rowery były wtedy w modzie i odgrywały wielką rolę, tak jak dzisiaj aeroplany.

Automobilów wtedy jeszcze nie było.

Prosiłem, aby zechcieli spróbować, a potem sąd wydać, — napróżno! Zaledwo kilku udało mi się nakłonić do odbycia próby. Jednym z pierwszych był p. K., uczestnik powstania r. 1863, a więc człowiek starszy, jednak lubiący ruch na świeżem powietrzu. Był on wprost zachwycony tym sportem. Innym się to również podobało, lecz poprzestali na próbie. Dlaczego — nie wiem, może, że rzecz nie była jeszcze wtedy modna, a u nas moda jest wszechwładną panią. Woleli jeździć na rowerze w kurzu gościńca w modnym kostyumie, a w zimie kręcić się w kółko na ślizgawce, przy muzyce, pod okiem pięknych pań. Co kto lubi — mnie pomimo, iż byłem namiętnym łyżwiarzem, rwało na ośnieżone pola i pagórki pod kopcem Kościuszki. Byłem tam samotny — z czasem spotykałem wojskowych i zapoznawałem się z nimi; niewiele jednak od nich skorzystałem, nauczyłem się tylko obrotu w miejscu, zresztą wszystko odkrywałem i zdobywałem sam własnem doświadczeniem — szło to jednak bardzo powoli.

Kiedy wojskowość urządziła pierwsze wyścigi narciarskie z muzyką, namiotami i bufetem, na stokach Sikornika pod Wolą Justowską, byłem wtedy jedynym „cywilem" na nartach, pośród mnóstwa publiczności.

Po przeniesieniu się na stały pobyt do Zakopanego w r. 1901 rozpocząłem agitacyę na nowo. Tutaj mi się lepiej poszczęściło. Pośród członków obudzonego

przezemnie z drzemki Sokoła i wśród grona nauczycieli szkoły zawodowej znalazłem chętnych zwolenników; na moich pierwotnych nartach uczyli się prawie wszyscy pierwsi narciarze zakopiańscy. Zacząłem organizować wycieczki w góry; Tatry otwarły przed nami swe zazdrośnie dotąd strzeżone skarby, uczestnicy tych wycieczek, zachwyceni zimową przyrodą, po powrocie nie mogli się dosyć naopowiadać o cudach, które widzieli w górach. Wtedy już sprawa rozwoju i przyszłości narciarstwa u nas była zapewniona — uczyłem tedy chętnie każdego, kto zechciał, pod warunkiem, aby przynajmniej jedną osobę zjednał dla tego sportu i nauczył jeździć.

Góry były wtedy w zimie puste, zwłaszcza, gdy śniegi nawalne spadły. Czasem spotykało się ślady leśnego, który obchodził swój rewir, lecz tylko krajem lasu i w dolinach. Do gór nie szedł nikt, bo i poco? chyba po śmierć. Opowiadania o zaginionych, którzy chcieli przez góry przejść do Węgier, nie zachęcały. Wyjątkowo wybrało się kiedy kilku turystów, aby po zmarzłym śniegu dojść do Czarnego Stawu, jednak zawsze pod przewodnictwem górali, którzy uważali „ceprów" za dzieci, niedające sobie w górach bez nich rady, zwłaszcza w zimie. To też jeden z nich nie chciał wierzyć, żeśmy byli przy Czarnym Stawie bez góralskiej niańki. „Moze? I zaśliście tele dole sami i nie umarzliście kany w lesie, abo na grani?"

Dopiero, gdy mu opisano ślady dwóch turystek i jego własny, gdzie on zjeżdżał na „portkak" po śniegu, uwierzył. Leśny Gronikowski, spotkawszy się pierwszy raz ze śladem moich nart, nie mógł w żaden sposób pojąć, co to może być! „Cosi, kieby sonecki, a nie sonecki, bo wązkie, popycho się kijem, juści pewnie cłowiek,

ba jako to jedzie?" Dopiero, zobaczywszy narty, zrozumiał. Górale narty nazwali „skije" od wyrazu ski, a nas „spuscoce" od spuszczania się z góry.

Tropy zwierza spotykało się często, uczyłem moich towarzyszy rozpoznawania ich. Kozice widywaliśmy prawie zawsze i sarny w lesie w dolinach.

Raz mogliśmy schwytać rogacza rękami; tak się uszamotał w głębokim śniegu, że stanął i robił bokami ze zmęczenia.

Uczniowie naszej szkoły schwytali na takiej wycieczce chorą prawdopodobnie sarnę, która szła śladem ich nart; zanieśli ją do szałasu, gdzie było trochę siana; na drugi dzień jednak znaleziono ją martwą.

Tropy lisów spotykałem na najwyższych przełęczach i graniach; prowadziły one jakby orlą percią dla przeglądu, gdzie się kozice znajdują i co porabiają. Zapadające w głębokim śniegu, zwłaszcza słabsze, sztuki, stawały się łatwą ich zdobyczą.

Raz widziałem tropy dwóch rysiów w skokach za sarnami. Spotkałem wtedy leśnego i pokazałem mu je. On mi się przyznał, że już widział te tropy, ale nie wiedział „co to takie złe, co straśnie za sarnami guni".

Opowiadał mi, że, gdy pewnego razu szedł do Kasprowej, usłyszał beczenie, a za chwilę spostrzegł lisa, jak biegł w stronę tego głosu na pomoc. Gdy przyszedł do miejsca, skąd głos pochodził, znalazł na śniegu wypisane, jak lis atakował kozicę, która mu się wydarła, pozostawiwszy tylko sporo nadartej szerści.

Nastrój na tych naszych wycieczkach był zawsze bardzo wesoły, — nie zdobywaliśmy wtedy szczytów, by módz opowiadać i pisać o pierwszem wyjściu, a jednak były to rzeczywiście pierwsze wyjścia na nartach. Nie


w Krakowie



W DRODZE NA GIEWONT OD MAŁOŁĄKI. 6.

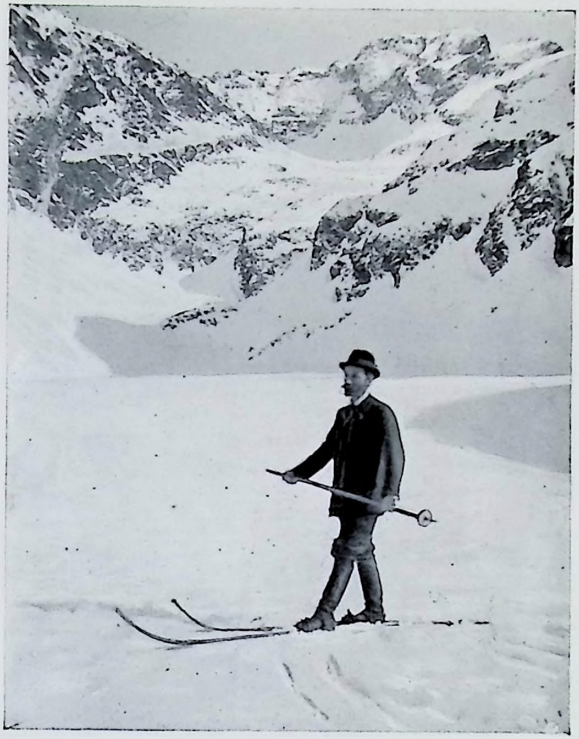

NA CZARNYM STAWIE GĄSIENICOWYM. 4.



robiliśmy rekordów szybkości, jeździliśmy dla samej przyjemności jazdy po śniegu i dla przepędzenia dnia w górach, zachwycając się cudną grą barw nieba, gór, mgieł i śniegu — wszyscy zgadzali się na to, że Tatry w zimie o wiele piękniejsze, niż latem. Bawiliśmy się zawsze doskonale, bez troski, jak dzieci; kłopoty, interesa pozostawiało się w domu — pogoda, słońce, wspaniałe widoki, przytem wzmożony ruch na świeżem powietrzu, podniecały; każdorazowy upadek którego z nas, zwykle bardzo zabawny, przyjmowany był salwą śmiechu. Bo też widok zjeżdżającego z góry i nagle ginącego w tumanie śnieżnym narciarza, wynurzające się z tej mąki długie nogi, ręce, twarz ze zdziwioną miną, mogły rozśmieszyć każdego, nienawykłego do tych sytuacyi; szukanie kija gdzieś zakopanego w śniegu, bez którego wstać prawie niepodobna było przy ówczesnej więźbie — wszystko to robiło wrażenie poturbowanego i konającego komara.

Nieraz zdarzyło się, że na wycieczkę łatwiejszą wybrał się ktoś z nami, nieumiejący jeszcze używać nart. Jeżeli to był gimnastyk, lub cyklista, to niewiele było z nim kłopotu, — jakoś dawał sobie radę, nie bał się zmęczenia i pęd z góry go nie straszył. Innych zaś brać nie chciałem bez poprzedniego wytrenowania, wiedząc, jakie przejścia nas czekają z takim niedołęgą.

Jednemu z nowicyuszów, który ogromnie się palił do nart i poszedł z nami pierwszy raz do Czarnego Stawu, przy zjeżdżaniu na Halę Gąsienicową, gdy przysiadł nagle, pękła dolna część ubrania na siedzeniu od pasa w dół. A że tęgi chłopak był, połówki rozwarły się szeroko, tworząc lustro, jak u rogacza, którego krótka kurtka pokryć nie mogła — ale z tego sobie nic nie robił,

dopóki byliśmy w górach; dopiero, gdy zaczęliśmy wracać, chciał jakoś to zakryć, ale nie było sposobu: peleryny nikt nie miał z sobą, igły i nici także, a szpilkami spinać w tem miejscu było trochę ryzykownie.

Wracaliśmy za dnia. W Kuźnicach znaleźliśmy na szczęście furkę, co uratowało sytuacyę. Ale w drodze spotkała nas siostra jednego z uczestników wycieczki, która wyszła naprzeciw niego i przysiadła się do nas. Tego już było za wiele naszemu bohaterowi, nie wiedział, co z sobą zrobić, a miał pierwszy wysiąść na Krupówkach. Zagadywaliśmy więc panienkę, ile się dało, aby odwrócić uwagę od wysiadającego, i jakoś umożliwiło mu się odwrót.

Schronisk urządzonych na zimę wtedy nie było, popasy urządzaliśmy w szałasach, do których wejście nieraz odkopywać trzeba było, lub też na otwartem polu; ogień rozkładało się w szałasie, o ile było drzewo, kociołek powiesiło się na sznurku, który nieraz przepalił się, a woda ogień zalała, lub też śnieg z dachu, stopiony ciepłem ogniska, spływał po okopconych deskach i krokwiach, a stąd po sznurku do kociołka, przez co herbata nabierała osobliwego smaku. Ale to nikogo nie zrażało — wypiło się i taką, bo gorąca, bo w górach wszystko smakuje i wszystko bawi.

Dzisiaj jakoś inaczej się to odbywa; wprawdzie w górach roi się od narciarzy, niema wprawdzie zakątka, gdzieby się z niemi nie spotkało, a przynajmniej śladu nart nie zobaczyło, lecz czegoś mi brak.

Drużyna idzie poważnie, bez uśmiechu na twarzy, nawet z ponurem wejrzeniem, idą jak konspiratorzy, lub wylosowani z bombą w zanadrzu na dokonanie zamachu. „Szanujcie majestat gór“ — zapewne, ale dostrój-

cie się do otoczenia i kolorytu całości i nie rzucajcie brzydkich plam na to cudne tło. Może to przesada z mej strony, ale mnie to razi i razić musi zapewne i górali, gdy „cepry", jak ponure robactwo, rozłażą się po górach, — ani piosnki, ani wesołego „ozwania się" nigdzie nie usłyszysz, za to spotkasz po nich zaśmiecone schroniska, ba, zanieczyszczone szopy ze sianem, popalone ławy i deski z dachu szałasu, a deski w górach to droga rzecz.

Przyznam się otwarcie, iż, pomimo, że wielkiego afektu do tutejszych autochtonów nie czuję i nie jestem zwolennikiem niańki w górach, wolę jednak owe dawne wesołe wycieczki z góralami i nawet z muzyką, jak to urządzał Chałubiński, niż dzisiejsze ciche i posępne.

Ale wracam do naszych wypraw zimowych; niektóre z nich utkwiły mi w pamięci.

Jedną z pierwszych była wycieczka do Czarnego Stawu, odbyta, zdaje mi się, w Wielki Piątek r. 1894 z p. J. Fischerem. Na Karczmisku owionęła nas mgła i począł padać gęsty śnieg, światło było tak dziwnie rozproszone, iż zdawało się, że jesteśmy w mlecznej kuli szklanej; żadnego modelowania terenu nie można było rozpoznać, tylko ślady naszych nart za nami dawały jakiś punkt zaczepienia dla oka.

Szałasy na Hali były zawiane śniegiem; bawiło nas, gdy mogliśmy na nartach dostawać się na dachy. Schronisko przy Czarnym Stawie znaleźliśmy wypełnione wewnątrz śniegiem, z którego wyglądały końce stołów i łóżek — zamiast barwnej tafli jeziora widać było białą płaszczyznę śniegu, równą jak stół, a echo, tak cudne w lecie, zamarło zupełnie.

Pojeździwszy trochę po stawie i posiliwszy się na werandzie schroniska, zabraliśmy się do powrotu, wysmarowawszy przedtem narty oliwą ze sardynek, gdyż śnieg się lepił. Wyobrażam sobie, jak lisy, natrafiwszy na nasz ślad, tak ponętnie pachnący, biegły za nim, jak za przynętą.

Dnia 16 marca r. 1902 byliśmy znów obaj i z dr Kulińskim na Kondrackiej Przełęczy przy pięknej pogodzie i tak silnem promieniowaniu słońca, żeśmy po drodze musieli rozbierać się prawie do koszuli; na przełęczy zaś marzliśmy okrutnie, zimno bowiem było takie, że rzemienie od nart stwardły i nie dały się zapiąć. Na tej wycieczce, którą opisałem w „Przeglądzie Zakopiańskim", nauczyłem się sam od siebie przypadkowo jazdy serpentynami, której dotąd nikt z nas nie umiał.

Raz wybraliśmy się przez Małołąkę popod Mały Giewont. Szliśmy dość szerokim żlebem w górę. Śnieg był świeżo spadły, głęboko grzęzły narty i słońce paliło niemiłosiernie, pociliśmy się zatem niemało. Około południa obserwowaliśmy na Wielkiej Turni lawiny, które spadały, poprzedzane tumanem pyłu śnieżnego.— Niedoświadczeni nie myśleliśmy o tem, że w żlebie, w którym znajdowaliśmy się, obróconym do słońca a bardzo spadzistym, mógł śnieg poprzecinany głęboko naszemi nartami usunąć się i nas wszystkich pogrzebać. Na górze rzeczywiście napotkaliśmy dawniejszą lawinę, przez którą przejście było nieco utrudnione, lecz to nas jeszcze wtedy niczego nie nauczyło — refleksya przyszła znacznie później.

Na Przełęczy pod Giewontem nagła zmiana klimatu. Ostry, szalenie zimny wiatr od wschodu, zmro-

Krakowie



POPAS W ZASPIE ŚNIEŻNEJ.



NAPRAWA ZŁAMANEJ NARTY. 5.



ził nas w okamgnieniu, zupełna gołoledź utrudniała niektórym nowicyuszom zjazd, dopiero poniżej był dobry śnieg. Jeden z uczestników dotrzymywał towarzystwa drugiemu słabiej jeżdżącemu i, zanim zjechali do szałasu na Kondratowej Hali, odmroził dwa palce u ręki. Nic nam o tem jednak nie powiedział, stukał niemi o ściany szałasu i dziwił się ich twardości. Dopiero w Zakopanem dowiedzieliśmy się o tem; szczęściem jednak obeszło się bez amputacyi i niedługo znów jeździł z nami.

Innym razem poszliśmy na Giewont od Hali Kondratowej. Śnieg był świeży i bardzo głęboki, grzęźliśmy prawie po pas, trzeba było przodownika często zmieniać, bo ciężka była droga do góry. Z powrotem zjechało się nieźle, lecz na dole śnieg był jakiś dziwny, nie ślizki, narty grzęzły w nim głęboko i wydobyć ich nie można było wcale, siedziały jak zamurowane w gipsie — tak, że trzeba było je formalnie odkopywać, aby módz dalej jechać. Dzisiaj wiemy co to znaczy, wtedy jeszcze nie miało się doświadczenia. Późnym już wieczorem zjechaliśmy do Kuźnic.

Na drugi dzień rano poszedł leśny Marcin, który nas widział wieczorem wracających, zobaczyć, jako się to nam jechało; opowiadał, że aż zdrętwiał z przestrachu, cały bowiem śnieg ze zbocza Giewontu, od samych turni, poprzecinany nartami, zjechał w nocy, a może jeszcze wieczorem, i tylko lód pozostały świecił do słońca, jak dach blaszany. Waryatami, pijanymi i dziećmi ktoś się przecież opiekuje, bo inaczej nie rozumiem dzisiaj, żeśmy wtedy cało wyszli z tej wyprawy. Dziwna spoistość śniegu wskazywała na wiatr halny,

trzeba było mieć się na baczności, wtedy bowiem o lawiny nie trudno.

Wogóle Giewont pod względem lawin jest bardzo niebezpieczny: spadają tam one ciągle, a ścieśniając się w żlebach na dole węższych, niż w górze, wywołują szalone ciśnienie powietrza. Jedna z takich lawin zmiotła schronisko na Hali Kondratowej w r. 1911. Widziałem tam nieraz lawiny leżące, podobne kształtem do całego pociągu kolejowego, twarde, jak lód. Nie mając doświadczenia ryzykowaliśmy nieraz wiele. Robiąc wycieczki do Czarnego Stawu, zjeżdżaliśmy zawsze zboczem Małego Kościelca, w miejscu, gdzie zginął później ś. p. Karłowicz. Spotykaliśmy tam prawie zawsze małe dawne lawiny, lecz nie sądziło się wtedy, aby one mogły być niebezpieczne. Dopiero dzień 8-go lutego r. 1909 nauczył wszystkich ostrożności, niestety zbyt drogo okupionem doświadczeniem.

Jeden z naszych towarzyszy, ten właśnie, który odmroził palce, miał dziwnego „pecha". Gdy razu pewnego wybraliśmy się na Czerwone Wierchy, wyprzedził on nas po drodze na Halę Kondratową, wyszedł kawałek w górę na stok pod Giewontem, ażeby sobie użyć jazdy. Na szreni narty mu się rozjechały, rzuciło go w dół głową, wbiło twardy melonik głęboko po uszy, a głowa wydrążyła godną dziurę w lodzie. Nie narzekał, tylko przez drogę ciągle głowę macał.

Na Przełęcz Kondracką wyszliśmy dobrze i szybko, lecz bez nart, które ciągnęliśmy za sobą po szreni; kto miał podkute buty lub raki, znaczył drogę tym, którzy byli w kapcach sukiennych.

Z Kopy Kondrackiej i Małołączniaka mieliśmy rzadki w zimie widok na morze chmur, które były pod

nami i zalały całą Nowotarszczyznę tak, że tylko, jak wyspy, sterczały Babia Góra i Trzy Korony w Pieninach*). Powrót za to był desperacki, niektórzy zjeżdżali na nartach, inni na plecach, jak się dało. Najbiedniejszy był ten ze stłuczoną głową, który już wtedy zupełnie stracił kontenans, szedł pieszo w kapcach, które na lodzie nie trzymały, kując okutym kijem stopnie i szepcąc całą drogę pacierze.

Rezultatem tej wycieczki były trzy narty złamane, kilka niezłych stłuczeń i odrapań skóry.

Mieliśmy za towarzysza p. D., zwanego „bumlerem", który często przyjeżdżał z Krakowa na wycieczki, a który wszystko robił inaczej, niż wszyscy, niczyjemu doświadczeniu nie wierzył i dlatego wszystko na własnej skórze musiał wypróbować. On długi czas niedowierzał nartom i często w miejscach, gdzie był dobry zjazd, zdejmował je i szedł pieszo. Później, gdy już wszyscy umieli zjeżdżać zakosami lub oporem, on jeden wierzył jeszcze uparcie w kij, siadał na niego i puszczał się w kuczki na łeb z góry. Dla nowicyuszów kierowanie nartami, zwłaszcza w lesie, sprawiało pewne trudności i przynosiło z sobą różne niespodzianki, które nas bawiły. Jeden z takich początkujących chciał w lesie na Miętusiej minąć gruby świerk, stojący mu na drodze, i zrobił to w ten sposób, że puścił go w środek pomiędzy narty i objął ramionami w uścisku.

Zjeżdżaliśmy młodym gęstym lasem, po dosyć dużym spadku, niejednego zaniosło tam, gdzie wcale nie chciał; świerki były gęste, porosłe gałęziami do samej ziemi. Pod jeden taki świerk zaszyło się po kolei aż trzech

*) Wycieczka opisana w „Przeglądzie Zakopiańskim", roczniku z r. 1905.

narciarzy, którzy ze zdziwieniem witali się, leżąc pod gałęziami: „A to i Pan tutaj?“ Wiadomą bowiem jest rzeczą, że narciarz, tak jak i kolarz jeszcze niewprawny, im bardziej się obawia na jakąś przeszkodę najechać, jeżeli ją wzrokiem fiksuje, tem pewniej na nią wpadnie.

Trzeba dodać, że wszystkie te epizody miały miejsce wtedy, zanim zaczęliśmy jeździć według pewnej szkoły — później to wszystko ustało.

Narty nasze robione były na miejscu w Zakopanem. Uprząż zmieniała się stopniowo na coraz lepszą, początkowo z obłąkami trzcinowemi, później na sposób szwajcarski z podeszwą i napiętkiem. Jeden nawet przymocował kawałek kalosza do nart i tak jeździł. Widziałem narty, których nosy były osobno zrobione z forniru, przymocowane gwoździami i sznurkiem, napięte, jak łuk.

Gdy nastały lilienfeldzkie narty, nie mogłem się z niemi pogodzić. Zbyt skomplikowana więźba nie podobała mi się, wielki ich ciężar wydał mi się do gór niepraktyczny. Skonstruowałem sobie własnego pomysłu stalową więźbę i lekkie, krótkie na 172 cm. narty, które mi dotąd znakomite usługi oddają i jestem zadowolony, że nie wydałem pieniędzy na niemiecki wyrób i nie muszę dźwigać niepotrzebnego drzewa w góry.

Przyjechał tu raz jeden „Pan ze świata“, który wiele jeździł, wiele widział, wiele mówił i podobno bardzo wiele wiedział. Przywiózł on ze sobą narty finlandzkie, długie na wiele metrów, na których jeżdżą po zamarzniętych jeziorach po śniegu Finlandczycy. Chciał nam pokazać, jak się to we świecie jeździ. Ale się nie udało, bo tych nart w górach nie dało się obrócić, jak mówił Klimek „bo zawdy zachyciło niemi kany, abo o





WEJŚCIE DO SZAŁASU NA WYŻNIEJ KASPROWEJ. 8.



SZAŁASY NA HALI GORYCZKOWEJ.

w Krakowie

Giewont, abo o Kopę Kondracką". Już to Klimek mógłby był niejedno o tym Panu opowiedzieć.

Z górali pierwszy Klimek Bachleda zrozumiał wartość nart; zrobił je sobie sam, uprościwszy więźbę lilienfeldzką i nauczył się jeździć. On też odbywał wycieczki z obcymi turystami, gdy który tu w zimie zabłądził. Przybyła tu znana turystka p. D., zdaje mi się z Pesztu. Klimek, jako umiejący po niemiecku, służył jej za przewodnika na Przełęcz Goryczkową. Pytaliśmy się później Klimka o tę wycieczkę, a wiedzieliśmy, że słabo jeździł.

„Eh, co tu opowiadać, gdy stanęła na Goryczkowej, rozglądnęła się po Luptowie, założyła kij za kark i fukła dołu nazad ku szałasom, a ja stary musiałem się dopiero za nią poniewierać po śniegu".

Dosyć już dawno zrobiłem dla próby narty krótkie na jeden metr i przekonałem się, że na normalnym śniegu można na nich zupełnie dobrze jeździć, zwłaszcza skręty można robić bardzo małe, prawie jak na Halifaksach. Dzisiaj czytam ogłoszenia o takich nartach w cennikach, jako o myśliwskich. I inne rzeczy, które dzisiaj ogłaszane bywają, jako patentowane, wymyśliło się samemu.

Idąc pod górę, wiązaliśmy klocki drewniane pod łyżwy; mam jeszcze gdzieś noże żelazne, które przed laty przyczepiałem z boku łyżew do wychodzenia i jazdy po szreni. Jedne i drugie wymyślił ktoś później i opatentował. Zamiast fok okręcaliśmy narty na całej długości sznurkami, z czego powstały później węźlice sznurowe Zaruskiego.

Próbowałem także zestawiania nart z obręczami, czyli tak zwanemi karplami. Przekonałem się, że niema

gorszej kombinacyi. Do góry na tym instrumencie iść nie można, bo narty ślizgają się wtył, a z góry zjeżdżać niepodobna, bo karple grzęzną w śniegu i nie pozwalają nartom posuwać się. I takie to przyrządy reklamują Niemcy bezmyślnie w swoich firmowych cennikach.

Jedną rzecz uważam za dobrą na szreni, zwłaszcza przy wychodzeniu pod górę, a mianowicie: po obu stronach narty na jej grubości w miejscu, gdzie się znajduje stopa, t. j. koło pięty i przed palcami, należy przyśrubować cztery kawałki blachy żelaznej, długości około 4 cm., grubej 2 mm., tak, aby ich dolne krawędzie były prawie równe z podeszwą narty. Ułatwiają one niezmiernie zaczepianie narty o szreń, a w jeździe nie przeszkadzają zupełnie.

Nawet foki uważam za zbyteczne, chyba w wyjątkowych warunkach, jeżeli n. p. narty są świeżo wysmarowane. Zdejmowanie ich lub zakładanie podczas mrozu, wiatru na szczycie lub przełęczy, jest zbyt uciążliwe. Im mniej przyborów poza nartami i kijem posiada narciarz, tem jest swobodniejszy i każdej chwili gotów do zjazdu, szczególnie zaś na to baczyć należy, gdy jest obawa przed lawinami. Nie mogę zapomnieć chwili, gdyśmy odkopali ś. p. Karłowicza i zobaczyli foki na jego nartach! Gdyby był zajechał o kilka metrów dalej, byłby już poza lawiną, niestety foki utrudniły i opóźniły zjazd, a lawina była szybszą od niego.

Nie tak to dawne czasy, o których wspominam, lecz jakież zmiany dzisiaj widzę? Sporty zimowe są dzisiaj bardzo rozwinięte, modne i ten, kto im się nie oddaje, a przynajmniej nie pozuje na takiego sportsmena, uważany jest za zacofanego.

Widuję ludzi, którzy na nartach ani saneczkach

nie jeżdżą, jednak ubrani w kostyum narciarski, rękawice, czapkę z odznaką klubową, sweater, chodzą po Zakopanem, lub siedzą całemi godzinami w kawiarni. Ale o takich kibiców nie chodzi, ci nie zaszkodzą ani pomogą narciarstwu, które rozwinęło się nadspodziewanie. Powstało Towarzystwo narciarskie we Lwowie, w r. 1907 założyliśmy wspólnie z ś. p. Karłowiczem i Zaruskim podobne w Zakopanem, powstało i w Krakowie. Te Towarzystwa, jak i akademickie kluby sportowe szerzą zamiłowanie do sportów zimowych; urządzane przez nich częste kursy zimowe, jazdy na nartach, jak i zawody, cieszą się liczną frekwencyą i zaciekawiają publiczność; zwłaszcza te ostatnie są najskuteczniejszym środkiem agitacyjnym.

Narciarzy przybywa coraz więcej; młodzież szkolna, kobiety i dzieci, wszystko się garnie do tej zdrowej i miłej zabawy.

Patrząc na to, dziwię się, jak to być mogło, że tak trudno było ludzi do tego nakłonić, jak do jakiej ciężkiej i niewdzięcznej pracy, jak dzieci do wypicia przykrego a zbawiennego lekarstwa i przekonywam się, że to ja zawcześnie zacząłem myśleć o tem, że wtedy nie był jeszcze czas po temu.

Dzisiaj ruch ten idzie z żywiołową, można powiedzieć, siłą, wychowanie fizyczne młodzieży przybrało zdrowy i racyonalny kierunek; widząc te rzesze, uwijające się po śniegu na stokach gór, cieszę się, że i ja przyczyniłem się potrosze do rozbudzenia zamiłowania do narciarstwa u nas.

Nie jestem już teraz samotnym, jak to było przed dwudziestu kilku laty.

Zakopane 1913.



WYDAWNICTWA SEKCYI NARCIARSKIEJ T. T.:

Zaruski M. O zachowaniu się na wycieczkach zimowych w Tatry . . . —·20 h.
— — Przewodnik po terenach narciarskich Zakopanego i Tatr Polskich (z mapą terenów narciarskich) . . 3·—
— — Mapa terenów narciarskich Zakopanego i Tatr Polskich . . . 1·—

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH I W BIURZE T. T. — ZAKOPANE, DWORZEC TATRZAŃSKI.

AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO • BIBLIOTEKA GŁÓWNA • MONETA •
4562

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE

Biblioteka Gł AWF w Krakowie
1800070491